

Lata, które nadeszły po pamiętnym, beresteckim starciu, nie przyniosły temu udręczonemu skrawkowi Rzeczypospolitej pokoju ani ukojenia. Wielkie kłótnie i swary pomiędzy Chmielnickim a starszyzną kozacką sprawiły, że zryw ten, który miał doprowadzić kraj ich do wolności, znieść królewiat samowolę, ten cel najważniejszy stracił. Zatarł się on między prywatną chęcią zysku i sławy. W chaosie tych nieszczęsnych zdarzeń trwał Bohun. Kiedy to pan Skrzetuski uwolnił go po zborowskim rozejmie, watażka ledwo z ran podleczone, rzucił się w wir wojny, śmierci i zatracenia szukając. A gdy i tego ukojenia Bóg mu odmówił, osiadł w spalonych niegdyś Rozłogach, pustką dotychczas stojących, gdzie jeno sam zarys domostwa wznoszący się nad gruntem i na wpół zasypana, pusta piwniczka były jedynym znakiem, że stało tam niegdyś kniaziowskie gniazdo.

Bohun, mimo że nie dbał o łupy, to zgromadził dość sporo dobra i zaczął odbudowę. Po prawdzie, niewielki koszt był tej restauracji, gdyż wśród zabobonnego ludu ukraińskiego i wśród Kozaków stał on się postacią na poły legendarną, przez co wielu chciało go na oczy własne widzieć. Przeto, pomimo tego, że Rozłogi były położone w okolicy prawie bezludnej, pojawiali się tam rzemieślnicy, którzy za pracę nie chcieli wiele, byle im nie broniono popatrzeć na tego sławnego mołojca. Śpiewano o nim wieczorami przy ogniskach i w zadymionych chatach dumki, didy lirnicy, którzy mimo wielkiej zawieruchy dalej przemierzali gościńce od jarmarku do jarmarku śpiewali o tym watażce, o jego junackiej, kozackiej sławie, o dziewce, którą miłował i o Lachu nieszczerym, co mu ją zabrał. I trudno wyznać, czy szacunek dla wojownika, czy współczucie wobec nieszczęśliwego afektu, wielki mir wywołały wobec niego. Dlatego też ściągali z dalekich stron ludzie, a drewniane ściany nowej siedziby szybko pięły się w górę. Póki jednak żadnego z zabudowań dachem nie przykryto, mieszkał Bohun w namiocie, jaki mu wierni semeni rozbili.

Wiosenne słońce ogrzewało zieleniejący step, odbijało się w rozlanych wodach Kahamliku, błyskało na ostrzach spis, które beczynni Kozacy pozatykali przy namiotach. Przed jednym z nich, oparty o końską kulbakę wpołleżał Bohun. Słońce, które tak łaskawie obdarowywało ciepłem i światłem całą zadnieprzańską ziemię, padało i na wychudłe lica watażki. Nie było to oblicze dawnego, urodziwego nad podziw mołojca. Poorwały je bruzdy zgryzot i desperacji, poprzecinały kresy blizn, z których jedna ciągnąca się od czoła przez całą niemal głowę. Postrzyżone w oseledec włosy nie kryły tej pamiętki. Bohunowi semeni nie wypytywali atamana, czyja szabla zostawiła ten ślad i tylko stary esauł Eliaszeńko opowiadał o strasznym Lachu, małym rycerzu, co takiego mistrza sławnego pokonał i prawie życia zbawił. Za każdym razem, gdy blizna bólem przypominała watażce o starciu z panem

Wołodziejowskim, żałował, że wtedy go odratowano, że nie skończył życia sobaczego. Żałował, że żadna kolejna rana, a było ich przez lata niemało, nie była śmiertelną, bo pragnął śmierci jak matki.

Z początku, kiedy wrócił do spalonych Rozłogów miały nim spazmy wściekłości, sprawiające, że semeni chowali się przed atamanem, który to szalał jak człek opętany, raniąc ludzi, a obezwładniony więzy rwał i uciekał w step, skąd wracał po kilku dniach, do człowieka niepodobny. Kozacy szukali wszelkich sposobów, by wrócić mu rozum i dawną sławę mołojcką, bo przez starszyznę siczową uważany był już za straconego. Semeni przyprowadzali do niego różne wiedźmy, którymi i wcześniej się otaczał, sprowadzali najurodziwsze krasawice, próbowali wyrwać go z przeklętych Rozłogów. Starania ich spełzały na niczym. Bohun rozganiał i wiedźmy i dziewczki nahajem, a na wieść o jakiegokolwiek wyprawie, rzucał się na ludzi.

Szaleństwo jednak z biegiem lat przygasło, pozostawiając kamienną obojętność i rezygnację na wszystko. Semeni widząc, że nic nie może go uleczyć, opuszczali go cichcem, tak że w końcu została przy nim garść wiernych ludzi, służących pod jego komendą od lat. Ludzie ci, przywiązani wiernością psów, pamiętali czasy dawnych przewag, wypraw czajkami w państwo tatarskie czy tureckie, późniejszą rebelię Chmielnickiego, kilku było w Rozłogach tej strasznej, krwawej nocy, kiedy Bohun wywierał pomstę na kniaziach Kurcewiczach. Trwał tak więc Bohun zubożniały na wszystko. Rosnące zręby nowej siedziby, posłańcy od Chmielnickiego, słowa towarzyszy, nie poruszały już niczego w jego umarłym sercu. Całymi dniami pozostawał w bezruchu. Semeni nie wiedzieli nad czym dumał, a sami bali się pytać, pamiętając niedawne wybuchy szaleństwa.

Kiedy pozostawał w jednym ze swych odrętwień poczuł, że czyjaś postać zasłania mu słońce. Otworzył oczy i zobaczył starego esauła, mnącego w zylastych dłoniach czapkę, z wyczekiwaniem wpatrującego się w jego oblicze, poszukując śladów zbliżającej się burzy. Twarz Bohuna jednak pozostawała tak samo kamienna. Watażka podniósł się i spytał:

- A szczo tam Eliaszeńku? Stało się co? – głos miał ochrypły.

- Nic bat'ku, tylko pop przyjechał. – Bohun zmarszczył brwi.

-Jaki pop? Na co on? – Stary zafrasował się.

-Mówił, że do was, o idzie tu.-

Zbliżał się do nich człowiek, który wcale na duchownego nie wyglądał. Szaty miał świeckie i liche, a broda spadająca mu na piersi, skołtuniona i plugawa, nie przysłaniała wielkiego złotego chrestu. Człek ten stanął nad Bohunem, ręce za pas zatknął i zaczął drwić:

- Tyś to wielki ataman, mołojec przesławny, co się nikogo, ani Chmiela, ani chana, ani Jaremy nie bał? Hospody pomyśluj! To chyba nie Bohun?! Jakbyś był Bohun to nie leżał byś tu jak truchło jakie. – Eliaszeńko struchlał słysząc te obelgi, za to Bohun szybko podniósł się z ziemi. Pop wybuchnął śmiechem.

- Oj, czyżbym dumę uraził?! Nie wart sławy ten, co płacze i ręce załamuje jak baba. I to jeszcze przez dziewczkę! O, umiłował Kozak kniaziównę i płacze, że za Lacha poszła.

- Milcz... - wyszczał Bohun przez zaciśnięte zęby. Ręką poszukał u boku szabli, lecz nie znalazł jej. Pop widząc ten gest jeszcze bardziej zaczął kpić:

- Ani szabelki nie ma? Ataman sławny, Jurko Bohun co całe kozackie wojsko przeciw królowi lackiemu pod Beresteczkiem wodził, teraz ani szabelki-drużki mu nie stało. Może tam, w tych bagnach gdzie została, jak uciekałeś!-

Obelgi przerwał bohunowy kułak, który uderzył przybysza prosto w wykrzywione drwiąco usta. To, że zarzucił watażce tchórzostwo obudziło w odrętwiałej duszy błysk dawnej wściekłości. Czarne oczy Bohuna zapłonęły gniewem. Drugi cios powalił popa na ziemię w pył. Tumult sprowadził resztę semenów, którzy otoczyli leżącego i czekali na rozkaz atamana. Ten jednak stał nad przybyszem zaciskając pięści i oddychając ciężko, blizna idąca od czoła stała się sina, a spod wąsów błyskały wyszczerzone zęby. Był straszny. Pop podniósł się na łokciu, ciężko dysząc otarł krew z rozbitych ust, potoczył wzrokiem po Kozakach i wybuchnął śmiechem:

- Patrzcie dzieci, otom atamana do życia wrócił!

.....

Noc zapadła, a Bohun i przybysz wciąż siedzieli przy ogniu rozmawiając i popijając gorzałkę. Semeni co raz słyszeli gromki śmiech domniemanego duchownego i widzieli w mroku świecące oczy atamana. Od dawne nie widzieli go tak ożywionym i radzi byli temu, co zaszło. Pop odjął od ust manierkę z horyłką. Pił łapczywie, jak człowiek spragniony, trunek rozlewał się po jego skołtunionej brodzie. Widząc to Bohun skrzywił się z ohydy.

-Niemiłym ci, Jurko?! Hospody pomyłuj! Każ sobie wody przynieść i przejrzyj się. Taki był z ciebie gładki mołojec, a teraz wyglądasz jak did! O, zaraz znajdziem ci teorban jaki, sakwę na plecy zarzucisz i pójdiesz na gościniec. Ale ja cię do żywych wrócę...

-Skądęś się w ogóle wziął? – spytał ataman, przerywając potok słów wypływających z ust przybysza.

-A jestem pop. Mychajło Sawicz. Znaczy się, nie do końca pop, bom był mnich w monastyrze, ale jak Chmiel wojnę zaczął, to przyszły Lachy i monastyr spaliły, a mnie puścili na postrach, żebym rozpowiadał po wsiach, co robią z tymi, co rebelię popierają, bo nasz batuszka głosił, że Chmiel w prawie i na pohybel panom i łacinnikom. Tak i ja poszedł do najbliższej sotni i powiedział, gdzie Lachy. I my ich pobili, a to – tu sięgnął po złoty chrest – to na pamiątkę z batuszki ściągnąłem, bo na co jemu umarłemu taki chrest? I tak zostałem pop. – zakończył.

Bohun wbił w niego swoje niezwykle oczy i wpatrywał się w twarz Mychajły. Widniała na niej bezczelność i opilstwo, a watażka nie mógł znaleźć powodu, dla którego ten człowiek chce mu pomagać.

- A Boh? Nie boisz się? – spytał go wskazując na krzyż. Pop rozgarniał węgle ogniska.

-Odkąd mnie maty do czerńców posłała i jak włóczyłem się z Kozakami, i pod Zbarażem i pod Beresteczkiem i do tej pory Jegom nie baczył.

Słowa te zmroziły Bohuna, bo choć był człowiek strachu przed niczym ziemskim nie znający, to spraw duchowych lękał się i nieraz zdarzało mu się pokuty odprawiać, bo krew niewinna ciążyła mu na rękach i był świadom kary. Nieraz myślał, czy to, że utracił Helenę nie było karą bożą za to, co uczynił jej braciom i starej kniahini. Mimowolnie więc, słysząc bluźnierstwo Mychajły, przeżegnał się. Ten zauważył jego ruch.

- Boisz się mnie sokole? Toż ja nie czort. Wiem, jakiego ci lekarstwa trzeba, żebyś ty znowu był wolny jak wiatr na stepie. Ja człek nieuczony, ale mądry, a ty człek chory na duszy. A jak dusza chora, to i rozum i ciało chore. Powiedz Jurko, kiedy widziałeś ostatni raz tę dziewczkę?

- W Tarnopolu, po rozejmie w Zborowie, w niewoli wtedy byłem i ranny. Jarema mnie jemu darował, a on wolno puścił, szablę i konia dał. Wtedy to ją ostatni raz widziałem, już jego żonę... Nie chcę o tym mówić, serce dalej boły.

Mychajło cisną precz manierkę z horyłką.

- Teraz masz o tym mówić. Pięć років szalałeś, rozum traciłeś, umarłeś za życia i to przez to, że inny dziewczkę ci zabrał. Tak bardzo jej chciałeś?

- Tak bardzo ją miłowałem. I dalej miłuję. – pop schował twarz w dłoniach.

- O jaki ty durny. Hospody pomyłuj! Ty Kozak, pułkownik, ataman, śmierci się nie bałeś, nikogo się nie bałeś, a tu dalej miłuje dziewczkę, która innemu łożę grzeje i małych Laszków na świat wydaje. Oj sokole, tyś rozum stracił.

- Ja go już dawno stracił. Kiedym ją z Baru wywiózł, u Horpyny schował i miał w ręku. Nie chciałem jej siłą brać, tylko żeby ona sama mnie chciała, żeby wdzięczna była, zem ją zratował. Ja jej palcem nie tknął.

Pop westchnął ciężko i rozglądnał się za porzuconą wcześniej manierką.

- Jurko, a kto był twój ojciec?

- Ja ne znaju.

- A mnie się zdaje, żeś ty jakiegoś szlachezca synek, bo zamiast brać dziewczkę jak mogłeś, tylko wzdychałeś na lacką modłę. Pewnieś ją w rękę boćkał i na lutni grał?

Bohun nic nie odpowiedział. Mychajło zasłonił manierką skrzywione w pogardliwym uśmiechu wargi. Nie rozumiał bohunowej boleści ani szaleństwa. Był bowiem człowiekiem, który kochał tylko siebie, a postanowił mu pomóc, licząc, że wdzięczy watażka obdarzy go choć częścią swego legendarnego majątku jaki musiał mieć gdzieś ukryty wedle mychajłowego rozumowania. Nagle zakrzyknął do semenów siedzących nieopodal. Noc była już głęboka, a oni czekali na rozkazy Bohuna nie kładąc się, dlatego też przybiegli na głos popa.

-Hej mołojcy, a wy wiedzieli, jak wasz ataman z krasawicą sobie poczyną? Jak kawaler, łycar, w rękę ją całował, zamiast po kozacku do rzeczy przystąpić i dlatego zdurniał.-

Semeni zamruczeli, zadźwięczały szable wysuwane z pochew, a Mychajło uczył, że za dużo już drwin z Bohuna usłyszeli i gotowi go na jedno skinienie atamana życia go zbawić i to w tak długi i bolesny sposób, że nie chciał nawet o tym myśleć. Odezwał się stary Eliaszeńko:

-Nie nasza to rzecz, jak kto z babą postępuje. My wolni ludzie i każdy robi tak, jak mu do smaku przypada. Jak bat'ko buw słodki dla kniaziówny, to buw. A wy jakeście jej nie znali to nic nie mówcie. Takiej detyny by nikt nie ukrzywdził.

Sawicz wstał, obciągnął swój wystrzępiony żupan i zatknąwszy ręce za pas, odparł:

-A wiecie, dzieci moje, co ja teraz zrobię? Waszego atamana wezmę daleko, opuścimy Ukrainę i pojedziemy w głąb Rzeczypospolitej. Tam, nieopodal Łukowa dwór jest jednego pana. A pan ten, szczerzy i dobry żołnierz, mówią, że był poseł na Krymie i na Siczy i że Chmiel mu był druh, bo życie mu ratował. Szlachcic ten to Jan Skrzetuski, co za żonę pojął Helenę, kniaziównę Kurcewiczową, która to była waszemu atamanowi obiecana i za którą do tej pory jak pies wyje. Pojedziemy tam, by ataman ją żywą obaczył i pojął, że wzdycha za cieniem, którego już nie ma! –

Semeni milczeli. Bohun także wstał. Patrzył na każdego z tych wiernych ludzi, którzy przy nim zostali, na ich poznaczone bliznami twarze i wiedział, że czekają na jego decyzję, tak jak kiedyś, i że radują się jego przebudzeniem.

-Mołojcy, pojedę z popem, a wy tu przypilnujecie dobytku.

-A ja, bat'ku? – odezwał się esauł.

-Jakbym bez ciebie jechał? – odparł watażka szorstko.

-Rano konie niech stoją gotowe.

.....

Wschodziło słońce, a znad Kahamliku wznosił się mleczny opar mgły. Konie rżały na dobrą wróżbę, gdy trzech jeźdźców opuszczało Rozłogi. Kierowali się na północ, by później odbić na zachód. Droga ta Eliaszeńce przypominała poprzednią wyprawę, gdy towarzyszył Bohunowi posłującemu do Warszawy w czas elekcji po śmierci Władysława IV. Stary Kozak modlił się w duchu, by ta podróż w laskie ziemie skończyła się szczęśliwiej niż ta ostatnia, z której jego umiłowany ataman ledwo uszedł z życiem. Teraz staremu ta droga prosto w paszczę lwa wydawała się czymś strasznym i niepojętym. Bohun jechał zamyślony, chmurne oczy wbijając w horyzont rozciągający się przed nim. Mychajło zawodził pod nosem jakieś pieśni niezrozumiałe, kiwając się w kulbace. Gdy skończył, watażka zwrócił się do niego:

- Słuchaj popie, jak mamy iść między Lachy? Odzienie i mowa nas zdradzi. Wezmą nas za szpiegów i zanim się obejrzymy będziemy wisieć na najbliższym drzewie.

Sawicz wybuchnął swoim nieprzyjemnym śmiechem.

- Nie bój bat'tku i o to Mychajło zadbał. Czy myślisz, że ja w jukach święte relikwie wożę? – Poklepał wydęte sakwy. – Tam mam trzy habity mnichów łacinników. A co do mowy, to ty pewnie ją znasz, ja też po lacku, a i po łacinie trochę umiem. Tylko stary będzie musiał udawać, że język mu urzęli. A i nie zapomnijcie się zegnać po łacińsku, bo by nas to zdradziło. – Bohun był zaskoczony przemyślnością Mychajły:

- A skąd ty odzienie wziął? – zapytał

- Jak jechałem do Rozłogów, to spotkałem mnichów w lesie, chowali się we trzech. Dałem im chleba i spoilem horyłką. A jak posnęli, tom każdemu nożem po gardle przejechał i szatki zwlekłem. Trochę krwią były zbrukane, alem je w Kahamliku wypłukał. –

- Skąd oni na Zadnieprzu byli, jak tu już dawno śladu po Lachach nie zostało? – Mychajło wzruszył ramionami

- Czort ich wie. Może szli po jakie dobra schowane wtedy jak jeszcze przed Chmielem wszyscy uchodzili? – twarz jego przybrała chytry wyraz, który Bohunowi wydał się znajomy.

- Mówili, że teraz spod Wilna idą. To jakby kto pytał, to już tam wracamy. – stwierdził Sawicz, a Kozacy skinęli głowami.

Podróż płynęła szybko, pogoda wiosenna stroiła każdy skrawek ziemi, mając go kwiatami i młodą trawą. Jeźdźcy jechali pustym krajem, gdzie mijali ruiny osad i miasteczek porośnięte młodym lasem, płoszyli dzikie zwierzęta gnieźdzące się w dawnych ludzkich siedzibach. Step, któremu osadnicy przez lata krwią i trudem wydzielali skrawki ziemi pod siew, zagarniał łapczywie swoją dawną własność, a na ludzkich szczątkach trawa wybujała wysoka. Cały świat, jakby na przekór człowieczej śmierci i zatrąceniu, rozradzał się, kwitł i piękniał, jakoby cudownie tkany wschodni kobierzec rozwijał się pod kopytami bohunowego bachmata.

Watażka jednak nie zwracał uwagi na otoczenie. Nie rozmawiał też wiele z towarzyszami. Eliaszeńko znając duszę swojego atamana wiedział, że nie należy go drażnić czczym gadaniem. Nie wiedział o tym Mychajło, który wiódł sam ze sobą rozhowory, które Kozacy puszczały mimo uszu. Jednak nie starał się więcej dotykać bołaczki Bohuna. Dobrze zapamiętał celność jego kułaka.

Zdawać by się mogło, że z każdą przebytą milą stepu Bohunowi wracała dawna siła, jakby z każdym oddechem wciągał w siebie tę wiosenną witalność. Licom jego powróciła dawna smagłość, sylwetka wyprostowała się. Wydawał się teraz dawnym Bohunem – ulubieńcem Zaporozża i ludu ukraińskiego. Brakło jedynie kosztownego stroju, w jakim dawniej watażka się lubował, bo wyjechał z Rozłogów w prostym, siwym żupanie, by jak najmniej zwracać na siebie uwagę.

Póki jechali ziemią ukraińską, swoim krajem, nie kryli się, bo i nie było przed kim. Kiedy zaś wjechali w tereny ludniejsze, coraz więcej podróżnych spotykając na gościńcu, wtedy przywdziali szaty mnisze. Pochowali szable pod jukami, oporządzili brody, bo i Bohun w swoim zapamiętaniu zaprzestał starań o swój wygląd, kiedy popadł w odrętwienie. Zajmował się nim wtedy stary esaul, który bardziej pilnował, by ataman z głodu nie umarł, niż tego jak się prezentował. Teraz Mychajło obciął mu osełdec. Jemu samemu zaś Eliaszeńko skrócił skołtunione włosy i na czubku głowy wystrzygł tonsurę. Złoty chrest pop z żalem schował pod habitem.

Tak przemienieni dotarli do Lublina, a stamtąd odbili w kierunku Łukowa. Popasali w karczmach, gdzie Mychajło rozwodził się nad okrucieństwem jakiego byli świadkami podczas rebelii. Wielu ludzi, z tych spokojnych, centralnych ziem Rzeczypospolitej, których wojna żadna od dawna nie dotykała, wspomagało ich jadem i groszem, patrząc z nieukrywanym zdumieniem i trwogą na poznaczone bliznami twarze mnichów-Kozaków. Bohun świadom, że przypadek może ich zdradzić, nie odzywał się za wiele i chował twarz w kapturze, zwłaszcza wtedy, gdy spozstrzegał jakiegoś szlachcica. Rzeczypospolita mogła być



i ogromna, lecz zawsze mógł trafić na kogoś znajomego, bowiem jego osoba i wśród Polaków była sławna.

Schylony nas misą, otoczony gwarem karczmy rozmyślał Bohun o tym, jak to będzie, gdy znów zobaczy Helenę. Stawała mu przed oczami dawna kniaziówna, jeszcze dziecinną, zahukana przez starą Kurcewiczową, jaką umiłował tak dawno temu, później widział ją przerażoną i bladą w samym gieźle, prowadzącą ślepego Wasyla, tej nocy, kiedy to mścił się na kniaziach. Po tej jawiła mu się Helena z Baru, która zamiast z wdzięcznością rzucić się mu w ramiona, pcha się nożem. Za nią następowała kniaziówna z Czortowego Jaru – osłabiona, delikatna i piękna niby cerkiewny obraz, której nie śmiał tknąć. Ostatnia Helena, ta z Tarnopola, patrzyła na niego ze smutkiem, cała jej postać wyryła się w jego pamięci w najdrobniejszym szczególe. Obok niej stał Skrzetuski, lecz nie triumfujący, a poważny, który ściągał mu pęta mówiąc, że zwraca wolność. Jedyny i największy rywal, z którym nie dane było mu się zmierzyć. Co zrobić teraz? Czy zabić go? Wjechać z ogniem w jego spokojny dom i rzucić mu w twarz: – Stawaj Lachu, nie żyć nam dwom na świecie jasnym! – Bohun zacisnął pięści w ataku wściekłości. Eliaszeńko pochylił się nad nim i szepnął

- Bat'ku, szczo z toboju?

Mychajła ogarnął niepokój. Potoczył wzrokiem po zadymionej izbie. Wydało mu się, że ktoś ich obserwuje. Wtedy ujrzał przemianę Bohuna. Broda drgała mu w paroksyzmie, a w cieniu kaptura lśniły niczym wilcze ślepie oczy watażki. Pop szybko podniósł się z ławy i ujął mołojca za ramię. Ten jednak strącił jego dłoń.

- Uchodźmy stąd – rzucił zduszonym głosem Mychajło. Wstali od stołu i opuścili karczmę.

.....

Imię pan Rzędzian podróżował w swoich rozlicznych interesach. Dawno już zarzucił służbę u pana Skrzetuskiego, a bogactwo, jakie zdobył przebywając swego czasu między Kozakami pozwoliło jego rodzinie wygrać proces o nieszczęsną gruszę. Jako że rodowe gniazdo ojciec jego trzymał jeszcze krzepko, tedy młody pan Rzędzian wyruszył szukać szczęścia i fortuny w świecie. Będąc z natury człowiekiem sprytnym, nabył za gotowiznę kilka wsi w mazowieckiem, z których czerpał niemałe intraty. Jechał teraz od wojewody, który starostwo wąsoszańskie mu powierzył, do rodziców, by pochwalić się im tą dzierzawą, przez którą w całej okolicy ród Rzędzianów znacząco urośnie. Po drodze, Rzędzian postanowił odwiedzić swego dawnego pana i dobrodzieja, odbijając w kierunku Łukowa, jechał na Burzec. Tam nie zastał pana Skrzetuskiego, spędził kilka dni w towarzystwie pana Zagłoby oraz pani Heleny, których to oboje darzył przyjaźnią, dlatego też zafrasował się, widząc panią Skrzetuską, zwykle rumianą i pełną wdzięku, tak bladą i wychudłą. Nie chciał robić jej przykrości i obsypywał komplementami ją samą, jej synków czarnowłosych i bureckie gospodarstwo. Kiedy został sam z panem Onufrym spytał:

- Waćpan powiedz mi, cóż to się z panią Heleną stało? Czy aby nie chora?

Zagłoba zmrużył przykryte bielmem oko.

- Nie bój się o nią panie starosto. Córuchna moja zawsze taka, gdy Jana nie ma długo. Schnie z tęsknoty za nim, a i martwi się, żeby, tfu! Nie daj Boże, co złego go nie spotkało, jak to czasem się w wojsku zdarza.

- Nie daj Bóg – powtórzył mimowolnie Rzędzian. Zagłoba nalał mu jeszcze miodu

- Wypij panie starosto! Twoje zdrowie! Gdym cię w Czehryniu pierwszy raz widział, to bym i złamanego grosza za ciebie nie dał. A teraz – pan starosta Rzędzian!

Dawny sługa Skrzetuskiego spłonił się niczym wstydliva panna i wypił jednym haustem, po czym obtarł niezbyt bujnie wąsiki, które zdobyły jego wciąż puciołowate lica. Zapadła cisza, której żaden ze szlachciców nie przerywał. Obaj bowiem pograżyli się we wspomnieniach z czasów nie tak odległych, kiedy to przebywali na Ukrainie ogarniętej pożogą rebelii. Rzędzian chciał jeszcze o coś zapytać Zagłobę, z zadumy wyrwało go miarowe chrapanie starego. Jako, że konie czekały na niego gotowe przed gankiem, a z gospodynią pożegnał się wcześniej, postanowił cichcem odjechać. Nie żywił niechęci do pana Zagłoby, lecz jako człowiek ciągle rozglądający się za zyskiem, nie lubił przesiadywać beczynnie nad kubkiem miodu. Odjechał więc szybko wiedząc, że stary szlachcic nie będzie

się nań długo gniewał, a do następnej wizyty zapomni o tym.

Zmrok już dawno zapadł, gdy stanął w pierwszej karczmie przed Burcem, gdzie postanowił zanocować. Od małych okienek karczmy biło światło, więc Rzędzian wszedł do niej. Od razu przyskoczył do niego Żyd-karczmarz, który widząc dostatnią delię, którą to starosta chronił się przed nocnym chłodem, stwierdził, że možny pan grosza nie poskapi. Tym razem jednak się przeliczył. Rzędzian nie lubiał tracić pieniędzy, a trudy jakie przebył w służbie u pana Skrzetuskiego przyzwyczyły go do poprzestawania na małym. Dlatego też powstrzymał karczmarza, który chciał szykować dla niego izbę. Starosta z Wąsoszy zażądał jedynie jadła dla siebie i pacholika oraz miejsca dla wierzchowców. Sam postanowił przespać się w stajni, pilnując przezornie, czy ktoś nie zamierza ukraść mu koni bądź innego dobra. Żyd nie pokazawszy zdumienia, szybko podał misę z mięsiwem, a Rzędzian zaczął się posilać. Gdy skończył, zwyczajem wyniesionym z dawnych przygód na Ukrainie, począł przyglądać się innym gościom.

Ominął wzrokiem kilku mieszczan, jak i pijanego szlachetkę-szaraka, śpiącego na stole. W drugim końcu zadymionej izby zobaczył trzech mnichów. Jeden z nich, opowiadał coś otaczającym go chłopom. Twarz miał beczelną i pozbawioną duchownej godności, jednak to nie dziwiło Rzędziana, który wiele już w swym krótkim przecie żywocie widział. Drugi mnich, stary i kompletnie łysy, skupiony był na swojej strawie, od czasu do czasu rzucał czujne spojrzenia na izbę. Z kolei trzeci, wciśnięty w kąt i zasłaniający twarz kapturem, przykuł uwagę Rzędziana.

W karczmie panował zaduch, on sam ściągnął delię i rozpiął kilka guzów żupana. Wciąż przyglądał się tajemniczemu mnichowi, bo w jego postawie zauważył coś znajomego. Coś, co budziło w nim wspomnienia podszyte strachem, ale i nienawiścią. Zbył te natrętne myśli, które wydały mu się niedorzeczne. W całym swoim życiu Rzędzian miał tylko jednego wroga, którego nienawdził całą duszą. Kiedy zaś prawie już mógł wyrzucić pomstę, za swoją niezmazaną do tej pory hańbę, na drodze stanął Skrzetuski. Teraźniejszy starosta niczym nie różnił się od tamtego pacholika, który z całą swoją zawziętością chciał pozbawić życia Bohuna. I to on właśnie przyszedł mu na myśl, kiedy przyglądał się temu mnichowi.

Nagle zobaczył coś, co potwierdziło jego, jak myślał, niedorzeczne przypuszczenia. Mnich zeszytywniał, dłonie leżące do tej pory płasko na ławie, zacisnęły się w pięści, a w głębi kaptura rozjarzyła się para wilczych oczu. – Rzędzianem wstrząsnął dreszcz. – Bohun! Tutaj, przebrany. Tak blisko Heleny! – Już miał krzyknąć, lecz zdał sobie sprawę, że ich jest trzech, a on jeden, bo nikt pewnie karczmie nie stanąłby po jego stronie. Towarzysze Bohuna także

zauważyli jego stan i szybko opuścili izbę. Rzędzian zrobił po chwili to samo. Gdy uchylał drzwi, zdążył jeszcze zobaczyć, jak ostatni z mnichów znika w stajni. On także tam podążył.

W stajni było ciemno, tylko przez szpary wpadały mdłe promienie księżycowego światła. Rzędzian ukryty za żłobem czekał, aż domniemani mnisi ułożą się na spoczynek. Wydawało mu się, że słyszał, jak jeden z nich zwracał się do drugiego: „ba’tku”. Po chwili usłyszał chrapanie. Starając się, by żadne źdźbło nie zaszeleściło mu pod stopami, starosta podkraść się do śpiących i przyjrzał się ich twarzom. Ten, który przykuł jego uwagę spał, opierając głowę na kulbace. Księżyc oświetlał jego rysy, które nawet we śnie układały się w wyraz smutku i bóleści. Rzędziana oblał zimny pot. Teraz był już pewien, że to Bohun. Nie pomogło ani przebranie, ani broda. Choć watażka zmienił się przez te lata, postarzał i stracił dawną urodę, to zapiekły w swej nienawiści Rzędzian poznał go. Całe upokorzenie, jakie w jego przekonaniu doświadczył od Bohuna, przypomniawszy mu się i domagało zemsty. Starosta wycofał się ze stajni, wrócił do karczmy i zaczął dumać.

Kiedy ponownie wyszedł z izby, przysiadł na ławie pod oknem, skąd mógł widzieć każdego, kto opuszcza stajnię. Było już dobrze po północy, księżyc chylił się na zachodzie, a Rzędzian nie zmrużył oka czuwając. Przypuszczał, że Bohun i jego ludzie wyjadą przed świtem. Owinął się szczelniej swoją bogatą delią i czekał cierpliwie, jak myśliwiec zaczajony na tropioną od dawna zwierzynę.

Mychajło przebudził się jako ostatni. Jego towarzysze siodłali już swoje konie. Pop przeciągnął się i wyciągnął ukrytą pod habitem manierkę, z której zdrowo łyknął. Westchnął ciężko i rzekł:

- Tak Jurko, dzisiaj do południa będziemy jechali przez Burzec, gdzie pan Skrzetuski gospodaruje razem z żonką. Gadali wczoraj chłopci, że pan w wojsku, a pani sama z dziećmi i starym jednym szlachcicem została. Teraz jedź Kozacze, zobacz tę twoją hołubkę. Jak chcesz, to ją bierz, a jak nie to popatrz i zrozum wreszcie, że ona twoja nie będzie. – Bohun nie odzywał się przez chwilę, machinalnie głaszcząc bok swojego bachmata.

-Sam pojedę. Wy tu zaczekacie. – rozkazał

-Ale bat’ku – przerwał mu Eliaszeńko – Szco ty chcesz robić?

Bohun złapał uzdę bachmata i począł go wyprowadzać.

-Ja tylko ostatni raz na nią popatrzę. Jak bude szczęśliwa, to i niech tam zostaje. Jak nie, to powiem: jedź ze mną na Ukrainę, - Staął we wrotach stajni i obrócił się do towarzyszy. Mychajło i stary esauł widzieli teraz jego wysoką postać opromienioną krwawym blaskiem wschodzącego słońca.

-I powiem jej, że dalej ją miłuję...

Ciszę poranka rozdarł wystrzał. Watażka spojrzął na swoją pierś, na której rozkwitała szkarłatna róża krwi. Oparł się o odrzwia, a przerażony hukem bachmat wyrwał mu uzdę ze słabnącej dłoni i pogalopował przed siebie. Eliaszeńko, w pierwszej chwili skamieniały, doskoczył do atamana, który osuwał się na ziemię. Łzy napłynęły do oczu starego Kozaka, który kochał Bohuna jak syna. Drugi raz przyszło mu pochylać się nad jego bezwładnym, ciałem i znów nie umiał mu pomóc. Obrócił się ku Mychajle, lecz ten wyprowadzał już konia przez wrota po drugiej stronie stajni. Eliaszeńko nawet nie zdążył za nim krzyknąć. Pochylił tylko swoją starą głowę nad nieruchomym ciałem atamana i cichy szloch wstrząsał nim całym.

.....

Nad świeżo usypaną mogiłą Bohuna, przesławnego pułkownika kozackiego stało kilku ludzi. Byli to jego wierni semeni, którzy teraz nie wstydzili się łez, składając do ziemi ciało swojego atamana. Kozacy nie wiedzieli co ze sobą zrobić. Stracili kogoś, kogo bali się i podziwiali. Czuli też, w swoich prostych stepowych duszach, że oto nadszedł kres pewnej epoki, dawnego porządku. Pomarł straszny kniaź Jarema, gwiazda Bohdana Chmielnickiego gasła, a teraz brakło i Bohuna. Mołojcy czuli, jakby w bohunowej, prostej trumnie zbitej z sosnowych desek, spoczęła cała kozacka swoboda i sława. Wiedzieli, że takich rycerzy, takich wolnych ludzi, nie wyda już ziemia. Widzieli teraz, jakby w proroczym widzeniu kolejne pokolenia, które będą karleć w niekończącej się spirali zadawionych krzywd, których nikt nie będzie chciał wybaczać. Ogarnął ich strach, że oto nadchodzi kres dawnych wartości, że już nikt nie wspomni na odwagę, honor i sławę, ani na dawną Ukrainę, ani na dawną Rzeczpospolitą.